

dzięki przyjacielowi mojemu K., który wraz z drem Bobrowskim i Wertheimem powierzona miał pieczę nad wszystkimi szpitalami, w pobliskich wsiach umieszczonymi.

Trzeba przyznać, że praca doktorska, wyężdżająca tu była i wyczerpująca. Ciężka jest służba lekarska w polu, ciężką jest i odpowiedzialną na kwaterach. Setki chorych przewinęło się niekiedy przez dzień, których zbadać, opatrzyć, otoczyć opieką, należycie umieścić trzeba było. Oprócz tego szczepiono wszystkich żołnierzy przeciw cholerze. Od piątej godziny rano, do dziesiątej nieraz w nocy, tłuc się bryką lub konno, zaglądać do tego i owego szpitala, zbadać choćby z pół seciny chorych. Trzeba mieć na to silne nerwy i mocne zdrowie.

Wieczór po pracy schodzili się do restauracyjki pod cmentarzem i tamże do późnej nocy gawędy się ciągnęły i dyskusye, raz lekarskie, jeśli siła była po stronie doktorów, drugi raz żołnierskie, jeśli z hukiem, brzękiem szabli, nieocenionym humorem wpadł adjutant szukający Gwiżdża, za chwilę znów Gwiżdż szukający adjutanta.

Już ci przemawiają się wzajem.

— Gwiżdż! opowiedzcie tam coś tatrzańskiego! O koniku, o św. Pietrze, Panu Jezusie!

— Adjutancie, nabierzcie ducha, rzniście jaką deklamacyjkę!

Dobroduszny zaś dr. Wertheim, wysoki jak tyka, szczupły, człek, co by ci ostatnią koszulę dał, aby ci dogodzić, chrapiąc mocnymi zębami kostkę z nieboszczki kury, patrząc jednym okiem na adjutanta, drugim na Gwiżdża, rzecze:

— Tylko się nie kłóćcie! Bo zaraz zacznę wyliczać wam wielu chorych zbadałem, gdzieś szczepiłem ospę, cholere, a wiem, że to takie zajmujące, że zaraz sen was zmoży.

— Baczność! — krzyczy K. na widok wchodzącego Galicy.

Szorstko, podając rękę, przywitał się kapitan z obecnymi, odpasal zabłoconą szablę, kurtkę świsnął na ławkę, i patrząc przyjaźnie na otaczające go koło, usiadł.

— Cóż tam, doktorze? Szczepienie skończone? Batalion za parę dni odmaszeruje!

— Jutro koniec będzie! Jeszcze jedna kompania pozostaje.

Wesoło ci jest w tem kole, swobodnie, nie strzelają nadęte frazesy, pyszałkowatości ani śladu, chępliwość także znikła, boć to w takim kole siedzisz, że jakbyś z którym z tych grzechów wyruszył, zarazby mu łeb skreślił, a tybyś nos na kwitę spuścić musiał, oczy na sufit lub podłogę skierować, abys nie patrzył im w oczy. Siedziałem w kącie wtułony, wsłuchując się w ten luby gwar.

Zaraz zjawiała się usługująca dziewczeczka, Ślązaczka i gwarą swoją spytała:

— Czego chcą oni?

— Oni! — śmiejąc się pyta adjutant — którzy oni?

— No oni! — pokazuje palcem.

— Mówiłem ci, nadobna Kasiu, że oni to się mówi do trzeciej osoby.

— U nas tak gadają!

Przy kolacyi Gwiżdż podtatrzańskie bajdy opowiadać poczyną, przerywane salwami śmiechu. Zado-

wołony adjutant palcami przebiera po stole, wsłuchuje się w akcent gwary huculskiej, którą Gwiżdż doskonale włada.

Późną nocą udajemy się na spoczynek. Na odchodem Galica wydaje rozkazy, przypomina adjutantowi o dwóch kompaniach wyruszających w pole, poczem serdecznie dłoń ścisnąwszy, rozechodzimy się na kwatery.

Po kilku dniach wróciłem znowu do starego sądu. Pustki tu już były. Ktokolwiek zdrowym się czuł, odmaszerował do kompanii. Pozostał tylko Kulczyk, Liszka bowiem wzięli do szpitala na „Sziglu“, Berek i Sciwiarski, pozatem wszyscy opuścili tę kwaterę. Nawet Chuderski do piekarni poszedł, aby darmo chleba nie jeść.

Zaraz z Kulczykiem odwiedziliśmy Liskę. Willa otoczona dokoła pachnącymi świerkami i jodłami, przemieniona obecnie na szpital Legionistów. Pod troskliwą opieką doktora Kucharskiego i żeńskiego personelu, szpitalik ten był może jednym z najlepiej urządzonych. Czysto, higienicznie tu było, słowem, jak w raju. Roztworzył ramiona Liszka na nasz widok, czule przywitał. Chwalił wygodę, jaka tu była, menaż i t. d.

— Za tydzień, dwa zupełnie przyjdę do siebie — zapewniał — a potem zaraz sunę do kompanii. A z wami co?

— Ja — odparł Kulczyk — pójdę do pułku, bo z tęsknoty wytrzymać już nie mogę.

— Tak, tak, tęsknota! — odezwał się smutnie Liszka — Ona wiecznie żyje. I za domem i rodziną, a najwięcej toć może za swoimi tam w kompanii. Nic tak może nie łączy ludzi, jak niedola. Żołnierza znów, wylegującego się, tak jak ja, ciągnie tam, w pole, aby w znajome sobie koło wleźć, żołnierskie w boju rozognione widzieć twarze, spluwę (karabin) ująć w łapy, nasadzić bagnet i jazda wio... wio... He... he... he...

Na drugim obok łóżku, leżący kawalerzysta z oddziału Beliny, z rozciętą głową pałaszem, odwrócił się ku nam, poprawił ściskający mu głowę bandaż i przemówił:

— Słusznie! Słusznie! Ciągnie do pola człeka, jak wilka do lasu. Siedziałoby się teraz na koniu, ostrogą konia ubodło, szablę wzniosło w górę i za Beliną sunęło. A tak w łóżku leż, jak niemowlę w powijakach i lękaj od czasu do czasu, nowinkę ulotną, co tam nasi w polu zwojowali.

Ale wiecznie czuwająca pielęgniarka, Legionistka, posłyszawszy głos ułana Beliny z drugiego pokoju, raptownie do sali wpadła, i gderając, nie pozwoliła rozwodzić się utrapionemu ułanowi.

— Prosiłam was, raz na zawsze, byście jak najmniej ruszali się na łóżku i rozmawiali. Lekarz wam zalecił spokój, a wy jak na złość...

— Ależ obywatelko! — tłumaczy — nic się nie stało.

— Właśnie, że się stało! — przerwała — gdyż obywatel ma spokojnie leżeć, tak doktor nakazał.

Ułan „zawojowany“ przez pielęgniarkę umilkł, położył pomału głowę na poduszki i posępnym okiem wodził po sali.

Rozpoczęliśmy szeptem dalszą rozmowę, w wię-

kszej części o toczącej się wówczas bitwie pod Limanową, z której głuche przychodziły wieści.

W szpitaliku na pierwszym piętrze byli już ranni z pod Limanowy, między nimi adjutant któregoś z batalionów, lecz bez pozwolenia lekarza, nie można było z nimi rozmawiać.

Ciekawość paliła mózgi żołnierskie, szczególnie tym, którzy pochodzili z tych okolic, w których wówczas walki się toczyły.

— Wiesz co? — przemówił Liszka do Kulczyka — nasza kompania operuje koło Nowego Sącza.

— Co mówisz?

— No, tak słyszałem!

— O rany! — z przejęciem Kulczyk wykrzyknął. — Jakżeby już chciał być w kompanii. Może się uda dostać do Sącza, zobaczyć, co tam stare ojczyisko robi. A choć mu już pięćdziesiątka dawno minęła, miał zamiar wybrać się na Moskała. Jakażby to uciecha dla mnie była, walczyć w moim mieście.

— Toż przecież idziesz do kompanii?

— Byleby tylko do tej samej przydzielili!

— Ależ naturalnie!

— Ba! — ciągnął dalej rozmarzony Kulczyk — toż to parada będzie. Z kompanią wkracamy po potyczce, po walce, w Nowy Sącz, ja koło chaty mojej idę, ojciec w progu, faję kurzy, matka, siostry przed chatą, dalejże wołać za mną.

Rozgorączkował się tym obrazem, zdawało się, że stopy palą się pod nim. I Liszka toż samo myślał, gdyż głowę zwiesił smutnie i dumiał.

Pragnienie to spełniło się, gdyż obaj przeszli następnie całą kompanią pod Limanową i Nowym Sączem.

Koło okna w gorączce leżący żołnierz szeptał począł jakieś słowa, majaczył coś. Chwilami ręce wyciągał do góry, z spieczonych gorączką ust wyrzynać się począł słowa, dyalog jakiś sam ze sobą prowadził.

Ułan kręcił się na łóżku, jakby na madejowym spoczywał łożu, od czasu do czasu westchnawszy głęboko.

Zmierzch zapadał.

Szarzeć poczęło w pokoju, cień nocy powoli spadał na ziemię i utulał ją do snu.

I dziwnie było w cichym tym pokoju, gdy myśl pobiegła za braćmi w polu bijącymi się, dziwnie i tęskno: ni lubego gwaru trud znośnego żołnierza, ni ostrego głosu komendy, ni huku armat i łuny pożaru... tylko spokój, posępny jakiś i nieustannie wiszący w mózgu myśl: kto padł, a kto żywy?

— Czwarta godzina dobiega — upomniał nas głos Legionistki — proszę obywateli pożegnać chorych.

— Według rozkazu! — roześmiał się Liszka.

Zwiedziliśmy szpitalik, poczem zmierzchem już ruszyliśmy ku Jabłonkowie, układając plan na dzień następny.

\* \* \*

Nazajutrz podzielono nas.

Jedni do pułku, drudzy do szpitala — ostatni wreszcie, do których i ja należałem (choć z bólem serca) zwolnieni zostali ze służby, jako „waffen-unfähige“.

Smutna to taka dola żołnierska!...

